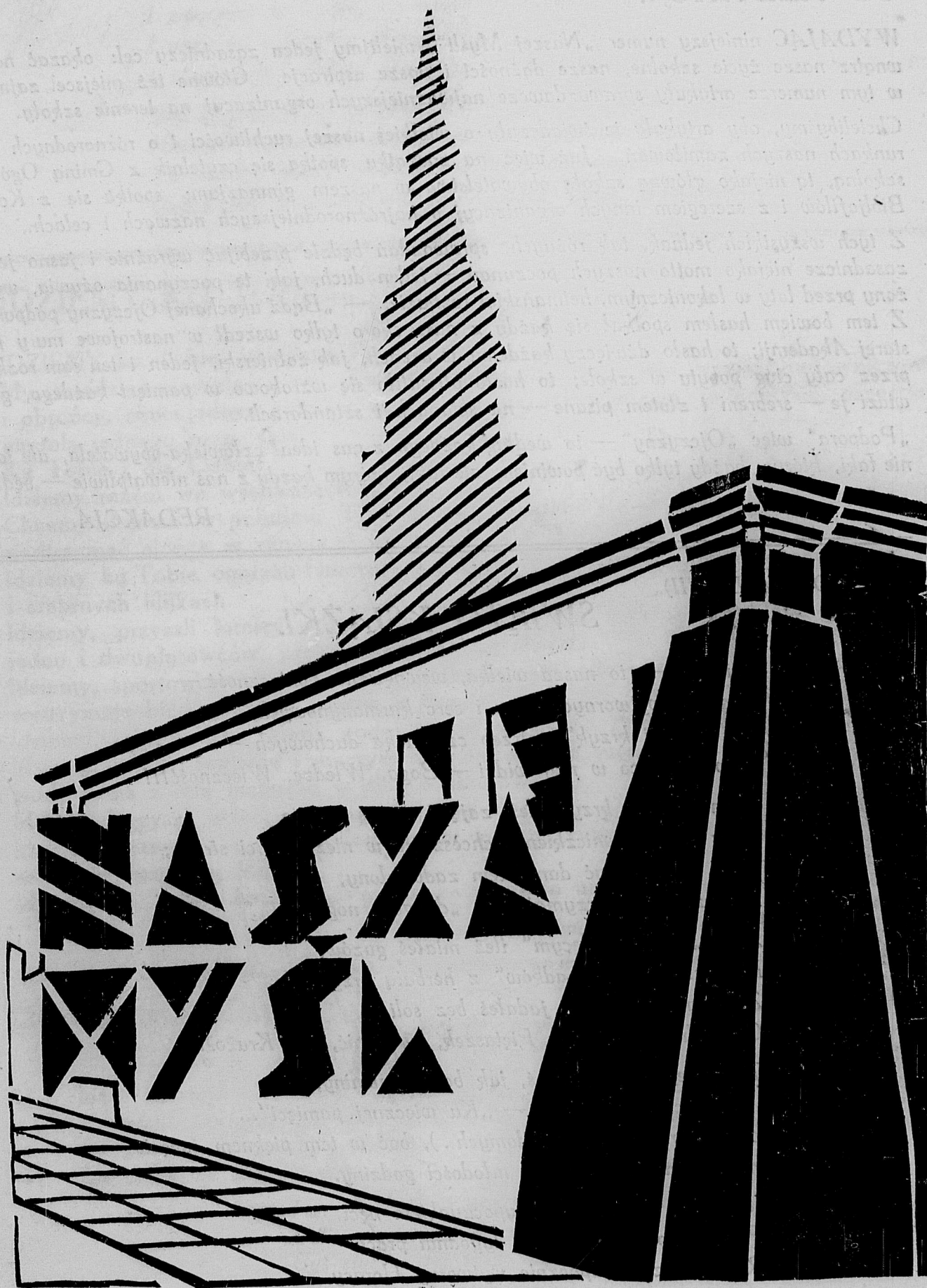




Rok 11.

Zamość, 13 marca 1932 r.

Nr. 4

1933

5

OD REDAKCJI.

WYDAJĄC niniejszy numer „Naszej Myśli“, mieliśmy jeden zasadniczy cel: okazać naze-
wnątrż nasze życie szkolne, nasze dążności i nasze aspiracje. Główne też miejsce zajmują
w tym numerze artykuły sprawozdawcze najważniejszych organizacyj na terenie szkoły.

Chcielibyśmy, aby artykuły te świadczyły o wielkiej naszej ruchliwości i o różnorodnych kie-
runkach naszych zamiłowań. Już więc na początku spotka się czytelnik z Gminą Ogólno-
szkolną, tą niejako główną szkołą obywatelstwa w naszym gimnazjum; spotka się z Kołem
Bibliofilów i z szeregiem innych organizacyj o najróżnorodniejszych nazwach i celach.

Z tych wszystkich jednak, tak różnych, sprawozdań będzie przebijać wyraźnie i jasno jedno
zasadnicze niejako motto naszych poczyniń — jeden duch, jaki te poczynania ożywia, wyra-
żony przed laty w lakonicznym, hetmańskim rozkazie: — „Bądź ukochanej Ojczyzny podpora“!
Z tem bowiem hasłem spotkał się każdy z nas, skoro tylko wszedł w nastrojowe mu y pra-
starej Akademji; to hasło dźwięczy każdemu w uszach, jak żołnierski, jeden i ten sam rozkaz,
przez cały ciąg pobytu w szkole; to hasło utrwaliło się wzrokowo w pamięci każdego, gdyż
widzi je — srebrem i złotem pisane — na ścianach i sztandarach.

„Podpora“ więc „Ojczyzny“ — to według każdego z nas ideał człowieka-obywatela, ale ideał
nie taki, którym każdy tylko być powinien, ale taki, którym każdy z nas niewątpliwie — będzie!

REDAKCJA.

D. KUZDRA (KL. VIII).

ŚWIĘTO KSIĄŻKI.

Książka — to nasza wielka, wewnętrzna konieczność —
Naszych wytwornych dusz i serc karmazynowych;
To „ostatni krzyk“ potrzeb człowieka duchowych —
Człowieka, co w niej widzi — Boga, Wiedzę, Wieczność!!!

Niemowlęciem krzyczałeś, zajętej czemś mamie,
Że z „Wędrowniczką“ chcesz iść w nieznane ci strony;
I tak byłeś, gdyć dano, tem zadowolony,
Żeś czytał go, trzymając — „do góry nogami“!...

A w „okresie cielecym“ ileż miałeś guzów,
Ile „przykrych wypadków“ z herbatą przy stole,
Z jakimże apetytem jadałeś bez soli,
Gdyś chciał jeść, jak Piętaszek, a czynić, jak Kruzo?!...

Teraz jej święto — coś, jak babci imieniny,
(Torty, ciastka, laurki, — „Ku wiecznej pamięci“...
Łzy z przyczyn niewiadomych...), boć w tem pięknem święcie
Wspomina się baśniowej młodości godziny.

Jej święto (źle pojęte) wypoczynkiem nęci
Poważnego ...klasiste; po tygodniu pracy:
Raz nareszcie odpocznie wytworny Horacy,
A on będzie przecież tym, co ma „szczere chęci“.

*Aż sędziwy bibljofil zdejmie okulary
I zmęczone spojrzenie na książkę zatrzyma;
I uzna jej potęgę — potęgę olbrzyma;
I złoży hołd należny, jak żak (trochę stary).
Boć książka ta — to nasza wewnętrzna konieczność —
Naszych wytwornych dusz i serc karmazynowych;
To „ostatni krzyk“ potrzeb człowieka duchowych —
Człowieka, co w niej widzi — Wiedzę, Boga, Wieczność!!!*

IDZIEMY KU TOBIE...

(Zamiast sprawozdania).

IDZIEMY ku Tobie, świetlana Polsko!

My, młodzież przyszłości, my, Twoja gwardja żelazna, Twoi przyszli budowniczo-
wie i obrońcy, skuci jednym rytmem serca, okoleni, jak wieńcem, jednomyślą, oświeceni
aureolą jednego pragnienia:

Ku Tobie i dla Ciebie!

Idziemy razem we wschodzące słońce!

Chcemy dojrzeć w południu Twej chwały i spalić się w promieniach miłości, by
podtrzymać słońce w zenicie — na wieki.

Idziemy ku Tobie ogorzali Harcerze z zakłęta mocą miłości i poświęcenia w złotych
i srebrnych lilijkach.

Idziemy, przyszli lotnicy i awiatorzy, bohaterowie błękitu, z małemi modelikami
jedno i dwupłatowców, prekursorami naszej chwały.

Idziemy, sportowcy, okryci żelazną siatką mięśni, okrywającą serce, „co maratoński
wytrzymuje bieg“ i duszę piękną a czystą.

Idziemy, jaśni sodalisi Marji, godni synowie Tej, co zawsze wierną była.

Idziemy, młodzi żeglarze i marzyciele z hartownem sercem, by wypłynąć na wielkie
wody życia z igłą magnesu w słońce skierowaną.

Idziemy, przyszli esteci i twórcy dobrego smaku.

Idziemy, przyszli obywatele, zjednoczeni w jeden żywy organizm, z jednym wielkiem
sercem — wspólnej Miłości.

Idziemy ku Tobie, świetlana Polsko, ze słońcem umiłowania w sercu!

Krzysztof Lipczyński, wójt Gminy Ogólnoszkolnej.

ZOŁTAN GRÜNDL (KL. II).

ROZKAZ.

*Idź! Czuwaj! Do czynu ciągłego
Harcerzu! wyciągaj ramiona!
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do ciebie ma prawo i ona.*

*Idź! Czuwaj i zawsze miej wiarę,
Cokolwiek by losy zrzędziły:
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli Jej starczy twej siły.*

*Idź! Czuwaj! Bądź czujny codziennie,
Ucho przykładaj do ziemi,
Bys słyszał Jej szept najtajniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony mocnymi.*

KOŁO BIBLIJOFILÓW.

W TYM ciężkim kryzysie, jaki przeżywa obecnie książka, w kryzysie, który może spowodować upadek kultury duchowej narodu, w tym kryzysie, jakże zbawienną rzeczą jest istnienie takich organizacyj, jak Bibliofile.

Istniejące na terenie naszego gimnazjum Koło Bibliofilów, pod kierunkiem p. Dyrektora, ma podwójne znaczenie: po pierwsze, że oto istnieje w czasach obecnych, a po wtóre, że istnieje wśród nas młodych, wśród nas — uczniów, wbrew wszelkim utartym sądom, jakoby uczeń był zdolny do wszystkiego, prócz miłowania — książki! I ta jego żywotność jest nie byle jaką, bo dość wspomnieć o wyrazach, jakimi tę naszą organizację określają ludzie dorośli m. in. — profesorowie; najcharakterystyczniejszym i zarazem najpiękniejszym jest nazwanie naszego Koła — „karmazynowem”. Prof. Kopciński, wyrażając się o nas w ten sposób, miał na myśli niewątpliwie wartość naszych myśli i uczuć jak również poziom naszej pracy.

Czy tak jest w istocie?

W obecnym roku szkolnym mamy już za sobą 9 zebrań, na których, po za pierwszym organizacyjnym i programowym, zapoznaliśmy się dokładnie z „duszą” niektórych książek: poznaliśmy dzieła wielkich pisarzy i poetów.

Poznaliśmy więc twórczość „Piewcy Tatr” — Tetmajera oraz twórczość tegorocznego Jubilata Weyssenhoffa; poznaliśmy urok i istotę twórczości „poety-żołnierza Starego Miasta” — Or-Ota i wreszcie niezwykłą twórczość poetycką — Bolesława Leśmiana. Najefektowniej wypadła „Uroczystość Sienkiewiczowska”, urządzona dla całego gimnazjum, którą zaszczyliły swem przybyciem Bibliofilki z Seminarjum.

Urządzone obecnie „Święto Książki”, którego celem jest jej propaganda, nie jest bynajmniej zakończeniem naszego „karmazynowego” poematu pracy; będziemy, my najstarsi, czynili nadal wszystko, by w nas ugruntować, a w młodszych wyrobić to głębokie przeświadczenie, że w książce mieszka rzeczywiście „Bóg, Wiedza i Wieczność” i że, jako taką, należy ją MIŁOWAĆ.

Dominik Kuzdra, prezes Koła Bibliofilów.

BOLESŁAW LEŚMIAN U BIBLIJOFILÓW.

DZIEŃ 6 marca będzie dla nas bibliofilów dniem pamiętnym; upamiętnił się on nietylko na „złotych kartach” naszej księgi protokołowej, ale i w naszych młodzieńczych umysłach. Czemś bowiem niezwykłym — niezwykle świetnym dla naszego zebrania, poświęconego twórczości Bolesława Leśmiana, była obecność samego poety. Gdy teraz oto piszę sprawozdanie z tego zebrania, to zdaje mi się, że piszę nieprawdę — wydaje mi się snem to, że wielki poeta zaszczycił nas „maluczkich” swą obecnością, a nawet słowami swego uznania!

Uznanie to wyraził dla naszej bibliofilskiej pracy, którą życzliwie osądził wedle wysłuchanego referatu oraz dla kilku z nas, których nazwisk (przez skromność) nie wymienię, a którzy, według poety, zapowiadają się, jako „dobre talenty poetyckie”. Jesteśmy — słowem — wszyscy dumni, że wielki poeta znalazł w nas tyle cech dodatnich, za co Mu jesteśmy bardzo wdzięczni, gdyż zachęciło ono nas jeszcze bardziej do kontynuowania podjętej pracy.

FRAGMENT REFERATU: BOLESŁAW LEŚMIAN W ŚWIE- TLE SWEGO „SADU ROZSTAJNEGO” I „ŁĄKI”.

„PRZESZEDŁSZY uprzednio sam przez krainę „sadów rozstajnych”, przez kobierce „łąk”, chcę was wprowadzić w tę krainę i, jako „cziczerone”, prowadzić was dalej naprzelaj przez „malinowe chróśniaki”, „zwiewne nurty kostrzewy”, wymieniać nazwy spotkanych „bezprzedmiotów” lub wskazać je tylko palcem i zatrzymać się razem z wami z milczącym podziwem na ustach.

Kraina ta, tak, zdawałoby się, codzienna, jest tak piękna, tak nienazwanie piękna, że aż straszna.

Na czymże polega kunszt poety, który z monotonnej łąki, z odpowiadających dzieciom malinowych chróśniaków, stworzył tak dziwną krainę?

Na to pytanie może tylko odpowiedzieć sam poeta, który już jako młodzieniec „szedł w znajome pole” i w tem polu, tak dla przeciętnego człowieka monotonnem, widział „deszcz much zielonych i złotych i owych samotnie skrzących, ciemnopurpurowych, co, dogadzając pomyślnemu skrzydłu, wpadały nagle w samo ślepie bydłu, zapatrzonemu w dal, jak w swą oborę”; ten poeta, co widział wszystko, bo nawet „żebra brzuchatego pajaka, nawskroś prześwietlonego przez słońce”.

Sam też poeta byłby najlepszym przewodnikiem po tej krainie baśni-przyrody, on bowiem nie tylko widział „wszystko i nic” — on obdarzony darem nazywania wszystkiego po właściwym, charakterystycznym i jedynym imieniu, określiłby ten świat baśni-przyrody „bezpołem”, „bezkrzewiem”, „bezlesiem”, ujrzałby i nazwał natychmiast „zniszczołą wonnych niedowcieleń” tą właśnie „zniszczołą” tych właśnie „niedowcieleń” i byłby „demonem zieleni” i „wszechleśnym powiewem ogarnąłby każdego i wabiłby go nieustannych rozkwitów pośpiechem i nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem i kusił coraz głębiej w tę zieleni, w tę zieleni”, ażeby go zwabił „w takich jagód rozdzwonione dzbany, w taką zamroc paproci, w takich cisz kurhany, w taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy, w takie szumów ostatnie kędyś zawieruchy”, że ległby każdy „w stu wiosen bezdeni” — jako „martwy topielec zieleni”.

Żebyśmy samopas przeszli wszystkie łąki i gaje, nie odczulibyśmy tego, co czuje poeta, który, szafując mnóstwem środków artystycznych — obrazowością tak bogatą, że aż wydającą się nam nierealną, tworzy istne labirynty, przemawia sam do siebie, samemu sobie, zda się, zrozumiałemi odcieniami, zjawami, hieroglifem, zda się, fantastycznych znaków.

I na tem polega kunszt poety, że szafując wielkim zasobem środków artystycznych: rytmem, obrazowaniem, dobozem, a właściwie tworzeniem słów — te labirynty nam, aż do samego ich jądra — ukazuje.

Takiej liryki, jak Leśmiana, nie zna poezja polska! Tu poeta nie błądzi po polach, lasach i nie snuje ckliwych refleksyj, tu poeta, jak ten „topielec zieleni”, zatracą się w przyrodzie i dociera do tryumfalnej, bolesnej apoteozy, do przelania swej jaźni w istotę natury.

Ilustruje to cykl liryk „Zielona Godzina”, gdzie poeta spaja się z naturą, przewciela się w nią, ku błogiemu bytowaniu w jej zielonem łonie. Tu wszelki duch, nie tylko poety, zespala się z tą istotą natury — nawet „Bóg w macierzankach leży bierny nawznak”, upojony aż do łez melodją niezwykłego organisty — dębu, z którym się przed chwilą uściskał, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych przy tej scenie aniołów. Z tej prawdopodobnie tożsamości ducha człowieka z przyrodą, z tego niejako cofnięcia się poety do czasów tworzenia się wszelkiego bytu na świecie, wypływa

właściwość stylu i języka poety. Styl ten i język tchną, za mało powiedzieć, ludowością, on tchnie praludowością, praszłowaniaością; nasunęło mi się tu, może nieprawdziwe, ale podobieństwo, pod względem stylu i języka niektórych wierszy, do niektórych miejsc „Powieści o Walgierzu Udałym” — Żeromskiego; te „szumy-po-szumy”, „świsty-poświsty” czy „lela-polela” przeciągają chłodnym, rzeźwym nurtem i w liryce Leśmiana. A przedrostki „bez” i „nie” — nastrajają nas tak, że znajdujemy się niejako „in statu nascendi” języka, a także zacierają linje doświadczalnej i dotykanej rzeczywistości, zmuszając nas raczej do przeczuwania czy odczuwania, niż do rozumienia — tak, że liryka Leśmiana oddziaływa na nas, jak — muzyka.

D. Kuzdra, kł. VIII.

SODALICJA MARJAŃSKA

SPRAWOZDANIE.

DNIA 19 września 1931 roku odbyło się pierwsze zebranie Sodalicii Marjańskiej, które miało na celu wybranie konsulty i ułożenie pracy na nowy rok szkolny 1931/32. Z konsulty, w skład której weszli przedstawiciele poszczególnych klas, należących do Sodalicii wyłonił się zarząd, składający się z prezesa, vice-prezesa, sekretarza, skarbnika i kronikarza. Praca Sodalicii jest wzniosła i piękna. Cel swój ogranicza do spraw czysto religijnych i duchowych, dąży do pogłębienia w sercach swoich członków zasad: wiary, etyki katolickiej i moralności. Na zebraniach ogólnych, po odczytaniu treściwych referatów, prowadzone są ciekawe dyskusje. Program zebrania ustanawia konsulta, zbierająca się przed zebraniem ogólnym. Zebrania odbywają się w terminach określanych przez konsultę, co trzy tygodnie lub co miesiąc. W bieżącym roku szkolnym liczy Sodalicia trzydziestu członków i jedenastu kandydatów. Dla utrzymania łączności ze światem sodalityjnym szkół średnich w Polsce, Sodalicia nasza prenumeruje w kilku egzemplarzach pisemka: „Pod znakiem Marji”, „Sodalis Marianus” i „Powściągliwość i praca”. Prowadzona jest również, bardzo skrupulatnie, kronika wiadomości katolickich.

Prezes S. M.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU POMOCY DZIECIOM BEZROBOTNYCH.

CIEŻKĄ sytuację ekonomiczną czasów obecnych, ogólną nędzę kryzysu przeżywa również Zamość. Posiada on, jak wogóle każde miasto, sporą ilość bezrobotnych. Widzi się na ulicach tych wynędzniałych, obdartych „ludzi bezdomnych”, wałęsających się bez roboty. W przechodniu, który jako tako daje sobie radę z kryzysem, budzi się na ich widok współczucie. Ale najbardziej na to współczucie zasługują dzieci bezrobotnych.

Kto najbardziej odczuwa ich nędzę? Oczywiście — młodzi.

To też dnia 6 grudnia 1931 r. został zawiązany tu u nas w Zamościu na terenie 6-iu szkół t. zw. Ogólnoszkolny Komitet Niesienia Pomocy Dzieciom Bezrobotnych. Z samej nazwy Komitetu są widoczne jego cele, a dotychczasowa jego działalność jest zgodna z temi celami. Jak młodzież zamojska odnosi się do tego rodzaju akcji, świadczy fakt, że Komitet Pomocy Bezrob. zebrał wśród młodzieży sporą sumę pieniędzy — 159 zł i sporą ilość odzieży oraz żywność.

Pierwszym czynem Komitetu była „Choinka” dla dzieci bezrobotnych. Urządzono ją oczywiście przy współudziale wszystkich szkół, tak, iż wieczorem dnia 6 lutego 102 dzieci uśmiechnęło się szczerze, uczuło zaspokojenie głodu i udało się do domów z cieplejszą odzieżą.

Ale nie koniec na tem.

Za zebrane fundusze urządził Komitet dzieciom świetlicę, w której dzieci mogą się zbierać, aby się rozwijać umysłowo i duchowo.

Dzieci umiejące czytać czytają pisma i pożyteczne książki. Niepiśmienne uczy się czytania i pisania; uczy się również dziewczynki szycia i t. p. Słowem — hasło W. Hetmana, rzucone nam tu w Zamościu, znajduje nietylko swe miejsce na naszych sztandarach, ale również w sercach i myślach, a także i w naszych uczynkach.

Wł. Bronowski, prezes K. P. D. B.

COŚ Z ŻYCIA I Z. D. H...

„Z BOGIEM, z Bogiem w każdą sprawę!” Oto hasło, z jakim rozpoczęliśmy naszą tegoroczną pracę harcerską. Zorganizowana we wrześniu drużyna liczy początkowo 37 druhow. Pracę swą rozpoczęliśmy uroczystą mszą św., na której przemawiał do nas w gorących słowach ks. kapelan H. Cybulski, zachęcając nas do pracy i przypominając obowiązek wiernej służby Bogu i Ojczyźnie. Prowadzenie drużyny objął dh. Kwaśniewski Antoni, przybocznym został dh. Kasperowicz Stanisław. Drużyna dzieli się początkowo na 4 zastępy. W październiku zostaje ogłoszony nowy zaciąg, stan drużyny podnosi się wówczas do 60 druhow, drużyna zaś dzieli się na 6 zastępów: 4 zastępy harcerskie i 2 zastępy wilcze. Teraz dopiero rozpoczyna się gorączkowa praca, tem więcej, że postanowiliśmy urządzić poranek harcerski, który zresztą udał się całkowicie, dzięki łaskawemu poparciu wszystkich naszych przyjaciół. Nasza gromada pracuje dzielnie, nieraz bardzo ciężko, lecz zawsze ze skutkiem.

Niemalże też się przyczynił do naszego rozwoju prof. H. Gerłowski, który łaskawie przyjął na siebie stanowisko opiekuna drużyny. Na zbiórkach nie omawia się tylko rzeczy teoretycznych, lecz wprowadzamy w życie zasady dobrego zachowania się, wpajamy w naszych młodszych druhow te przekonania i hasła, jakimi powinien się odznaczać nietylko harcerz, ale każdy polski chłopiec. W tym też celu został zorganizowany w miesiącu styczniu tydzień karności i grzeczności, które całkowicie udały się. Pozatem drużyna interesuje się i bierze czynny udział w akcji pomagania dzieciom bezrobotnych, składając w tym celu liczne ofiary.

Obecnie drużyna pracuje nad urządzeniem wieczornicy, z której dochód przeznaczamy na obóz wakacyjny. Poziom naszej pracy wyłącznie harcerskiej rozwinął się szybko, dzięki dh. km. Witkowskiemu Eugenjuszowi, który zorganizował kurs dla zastępowych i kształci naszych zastępowych, a ci wpajają swe ideały w innych druhow. Za pracę nad nami składamy dh. Witkowskiemu serdeczne dzięki, zapewniając Go, że ideały, jakie w nas wszczepia nie przebrzmia, gdyż są głęboko wryte w nasze serca. Pracujemy szczerze, uczymy się jak kochać Boga i Ojczyznę i jak im służyć poto, aby w przyszłości być chlubą Rzeczypospolitej.

Czuwaj!

Antoni Kwaśniewski, drużynowy I Z. D. H.

SPORT NA TERENIE GIMNAZJUM PAŃSTW. IM. HETM. JANA ZAMOYSKIEGO.

OCENIAJĄC wartość i znaczenie wychowawcze sportu, powołał prof. Gerłowski do życia Koło Sportowe, obejmujące całokształt wychowania sportowego. W roku szkolnym 1931/32 są czynne sekcje gier, lekkiej atletyki, strzelania, hokejowa i pingpongowa. Wszystkie te sekcje biorą czynny udział w życiu sportowym, nawiązując żywy kontakt z bratnimi klubami innych szkół i przyczyniając się tem samem do zadzierzgnięcia przyjacielskich stosunków z uczniami szkół innych.

Że wychowanie fizyczne rozumnie stosowane daje ciału energję i giętkość, że je uodpornia i upiększa, w to wierzą już bodaj wszyscy; że kształci, że wychowuje duszę człowieka, że tłumi jej dzikie i zwyrodniałe przejawy, a toruje drogę rycerskim formom i szlachetnej treści życia zbiorowego — czuje niewielu, dobrze rozumie jeszcze mniej. Szeregi rozmiłowanych w sportach uczniów u nas na szczęście przecież wzrastają. Postęp, jaki uczyniono w ostatnich dwu latach, jest bardzo znaczny; dość powiedzieć, że wszystkie sekcje przejawiają bardzo żywotną działalność, urządzając mistrzostwa wewnątrz-szkolne oraz startując we wszystkich prawie imprezach międzyszkolnych. I tak drużyny: lekkoatletyczna i szczypiorniaka na zawodach międzyszkolnych zajęły I-sze miejsce i zostały wysłane do Lublina na zawody okręgowe. W Lublinie zespół nasz szczypiorniaka zwycięża drużynę gimnazjum siedleckiego w stosunku 3:4. W lekkiej atletyce kol. Sokołowski zajmuje I-sze miejsce w oszczepie, rzucając 47,50 m. Po rozgrywkach w Lublinie drużyna nasza wyjeżdża do Spały, by zmierzyć się z mistrzami innych okręgów. W obecności Pana Prezydenta zajmuje II-gie miejsce za silną drużyną poznańską.

Szczególnie w roku 1931/32 gry sportowe wykazują ogromny postęp pod każdym względem. Zostały rozegrane cztery mecze w koszykówkę: dwa z drużyną wojskową w stosunku 48:12 i 38:12 i dwa z drużyną szkoły handlowej, w stosunku 71:7 i 56:2. Sekcja lekkoatletyczna wygrała dwa mecze z reprezentacją szkoły handlowej w stosunku 147:117 i 147:116. W okresie zimowym jest czynna sekcja pingpongowa, siatkówka i hokejowa.

Z tych wszystkich zwycięstw naszych sportowców, zwycięstw, wyrażonych z matematyczną ścisłością — w liczbach, widać, że oni również, jak reszta młodzieży naszego gimnazjum, okazali konieczność podjęcia i postępowania w myśl znanego hasła W. Hetmana. A myśli ich, dążności i marzenia harmonizują z ich czynami.

Myśli te bowiem, dążności i marzenia są przekładem tego hetmańskiego hasła na ich sportowy język:

„Czy pobiję Nurmi'ego, czy nie — to zawsze moja sprawność wyjdzie na korzyść Ojczyźnie“.

Wł. Bronowski, prezes Koła Sportowego.

DOMINIK KUZDRA KL. VIII.

POLSKA KOŁĘDA

(SIOSTRZYCZCE WŁADZI).

Słupy dymów, co w gwiazdy płyną z białych chat, —
Te same w Polskiej Ziemi już od tysiąca lat.

Ta sama biel śniegowa, te same blaski gwiazd; —
Co kryła, co świeciły nad dachem polskich gniazd.

Może już nie te same twarze w czerwieni szyb; —
 Może zmieniony laty odrzuci żaloszny skrzyp; —
 Może już nie ta sama łamie opłatek dłoń; —
 Ale te same serca, ta sama duszy toń;
 Ta sama myśl od wieków w nastroju owych chwil,
 Co to: „jestem dla wszystkich, jak czarę — tak mnie chyl”.
 I radosna kółka wypływa z białych chat, —
 Ta sama w Polskiej Ziemi już od tysiąca lat ..

Z CZEM POWRÓCIŁEM Z FERYJ.

Z czem powróciłem, pytasz? — Z czerstwą cerą:
 Wiatr ją osmagał biczem pocałunków —
 Jak z dubeltówki; pocałunków swoich,
 Naszych rodzimych, szlacheckich, rubasznych!..
 Wróciłem z winem w mózgu, w sercu, w duszy —
 Pijany wietrznik, rubaszny niecnota,
 Zawalidroga, hulaka przepyszny!..
 Dźwięczy mi bowiem w mózgu, w sercu, w duszy —
 Szaleje we mnie żywioł niekwestowany: —
 Szumów — poszumów, czy światów — poświstów;
 Żywioł, co wozy po groblach wyraca,
 Co konarami starych wierzb przydrożnych
 Trzęsie — łopocel!
 Żywioł imienia imć pana Boruty,
 Co z ślepą wroną w dziuplach wierzb przebywał..
 Z czem powróciłem? — Z werwą niekwestowaną,
 Z werwą djabelnie — borucią, z śmiechem wiecznym;
 Cha — cha cha — cha — cha; cha — cha cha — cha cha — cha!!!
 Z śmiechem do spazmów, do łez, do warjacji;
 Z śmiechem do śmierci!!!

NIĘWOLNIK MELODJI.

Jam niewolnik melodji, poczętej w wiolinie,
 Wrzającej w wygiętych gardłach lśniących saksofonów;
 Jam niewolnik tej całej, różnej zgrai tonów,
 Co mi mózg tnie i szpadą poprzez serce płynie.
 Jam niewolnik... skulony nad opasłym brzuchem
 Bębna, co stęka głucho, śmiesznie i potwornie;
 W jego żółtą łysinę wpatrzony pokornie,
 Całą swoją istotą jestem tylko — słuchem..
 Jam niewolnik!... Niestety, niestety, niestety —
 Nerwy „do czasu” znoszą terror waszych tonów;
 „Do czasu” przy rozpustnem gardle saksofonów
 Stoję; „do czasu” znoszę skrzypcowe sztylety.

„Do czasu” — bo gdy dusza moja okiełznana
 Zrzuci wieczną pokorę i przestanie słuchem
 Trzymać się waszej woli — potężnym obuchem
 Trzasnę w bęben, a ręka lewa rozhasana
 Po miedzianej łysinie zacznie sieć zawzięcie;
 Zmienię pałkę i gradem posypie po drewnie;
 I deszczem triangli lunę po sali rozlewnie;
 A glissandem świszczące cisnę wam przekłęcie!...

I wzrok na was podniosę; — na was pod sufity; —
 Wasze czesane głowy w powolnym obrocie
 Zwrócą się ku mnie; wpatrzą oczy lśniące w pocie,
 Oczy z błyskiem ironji; — opadną pobity...

Saksofony mi hukną głosy zmysłowemi,
 Z wysokości sufitu, żem „bębniarz” najęty!...
 I skrzypce ton wydadzą wysoki, przekłęty,
 Żem wobec nich niziutki, skulony przy ziemi; —
 Żem niewolnik mdlodji poczętej w wiolinie,
 Wrzącej w wygiętych gardłach lśniących saksofonów;
 Żem niewolnik tej całej, różnej zgrai tonów,
 Co mi mózg tnie i szpadą poprzez serce płynie...

KRZYSZTOF LIPCZYŃSKI, kl. III.

M R Ó Z.

Wetchnąłem powietrza haust przeogromny;;
 Wbiło się w płuca, jakby miecz ze stali —
 Jestem zmrożony, niby nieprzytomny —
 A tak jest dobrze, że aż prawie boli.
 Z tętnic krwi rozszalałej wylewa się fala,
 Wrze i paruje w mroźnej, suchej wodzie;
 Serce ze swego rytmu się wyzwala
 I zamraża się we krwi purpurowym lodzie.

L I P Y.

A rozzłocił się dzień ten lipcowy
 I rozdzwonił się pszczoł miljarde swada,
 A uderzył, jakby miód oo głowy,
 Co płynie z lip kwiatów kaskadą;
 A rozszumiał się gdzieś hen w konarach,
 A rozczudnił się w cieniu, gdzieś skrycie,
 Wyolbrzymiał w dwuwiekowych barach
 I na chwilę rozstłonecznił życie.

T R Z Y K W I A T Y

(TRYPTYK).

FIJOŁEK.

Oczy przemglone, rosą łez zatarte,
 Jeszcze rozespiane w pierwszych słońca blaskach,
 Bibułka cienka z koperty wydarta;
 Silny zapach i ziemi wkoło listków garstka

RÓŻA.

Kropła krwi na traw splocie,
 Chwila szaleństwa i bezdenna pustka —
 Od pocałunków nabrzmiące usta,
 Ałasowa szmatka na kółczastym drucie.

CZEREMCHA.

Roiskowy śnieg w gorącym słońcu,
 Białe confetti na rozsiadłym krzaku.
 Gromada motyli na szpilkach się rwąca —
 Rozpylona trucizna w przecudnym zapachu.

O. R. P. „WICHER“.

PRZYJECHAŁ... Nikt nie wiedział nawet kiedy. Nie wiem, jak to się stało i dlaczego, ale kogokolwiek się o to spytałem, nie umiał mnie objaśnić.

Dość, że go kilka dni nigdzie nie było, aż dziś dopiero zjawił się nagle, jak z pod ziemi i połyskuje majestatycznie swym szarym, długim bokiem, a w naftowym duchu swych potężnych maszyn i wszystkimi gwintami 112 mm. dział śmieje się do rozpuku z wszystkich ludzi uważnych. O. R. P. „Wicher“.

Bo też cuda on takie często czyni. Nieraz wypłyne nagle z portowej bramy, przejedzie blisko brzegu i zakryje się momentalnie czarnym, jak noc, obłokiem ropowego dymu. A kiedy wiatr dym rozwieje, statku już tam niema. Pewnie przyczał się gdzieś, za cyplem Orłowa lub też zmienił kurs o 90 stopni i może już niedługo do Helu dopłyne.

Tylko fala wzburzona, nerwowa, wywołana sztucznie przez statek, pędzi do brzegu, aby tam chlusnąć niespodziewanie swą lodowatą zawartością na rozpalone słońcem i piaskiem ciała nierozważnych letników, którzy zbyt blisko wody rozłożyli swoje manatki, zamaczać im płaszcze i koce, a może i ukraść jakąś książkę czy torebkę. I tylko tam, gdzie „Wicher“ wichrem poprzez fale pędził, gdzie rozbijał je w pył wodny swoim ostrym, kształtnym dziobem, kołysze się niezdecydowanie piana, świadectwo, że był tu król i władca polskiego wybrzeża.

Ale i ludzie znają różne sztuczki i sposoby, które nieświadomemu także cudemby się wydawać mogły. I oto nim „Wicher“ zdążył się nam tak cudownie objawić, sprytni ludzie już o zamiarze tego objawienia wiedzieli i — o zgrozo — mówili, że będzie można zwiedzać statek! Jakto! „Wicher“, ten śliczny, nowiutki „Wicher“ wpuściłby na swój pokład tych kilka tysięcy obrzydłych kuracjuszy, moczących przez pierwsze pół dnia swe niemrawe ciała w słonej wodzie, a narzekających przez drugie pół, że jest tak zimno lub że tak gorąco — wiecznie niezadowolonych, nic nie robiących leniuchów? Pozwoli im zaglądać w najtajniejsze swe zakamarki, obstukiwać szkła przyrządów, kręcić korbami celowników, zaglądać przez lornety i tłumaczyć „lądowym durniom“, swym jeszcze głępszym towarzyszą, że przyrząd torpedowy jest przeciwlotniczą armatą? Przecież to straszna obraza dla załogi takiego statku, jak „Wicher“! Raczej wybuchnie chyba złością swych wszystkich kotłów. Utonie raczej, niż pozwoli na to ten piękny, polski statek.

A jednak pozwolił. I nie pękł złością wszystkich kotłów. I wcale nie utonął.

Krzykliwa, nieznośna i pchająca się wszędzie motorówka, dzikim warkotem swej rozklekotanej maszyny, kołysząc zawzięcie cienkim a wysokim masztem i wysoko prychając pyłem wodnym, podjęła się tu pośredniczyć.

Na pomoście ścisk nie do opisaniał! Po południu jesteśmy tam my, są zresztą wszyscy inni. Motorówka też jest. Odpoczywa po przedobiedniej pracy. Stoi cicha, skromna, wtuliła się częściowo pod pomost i ociera się zlekka swoim żółtym, niskim bokiem o rozdrapany prawie do połowy pal pomostu. Masztem tylko wciąż wymachuje i skrzypi cienką, przymocowaną do pomostu liną.

Publiczność z początku stoi też cicho.

Panowie udają ludzi, którzy wiele już widzieli i których nie tak łatwo czemś zaintrygować. Co tam dla nich taki statek! W Ameryce lub Anglii to taki już dzieci nie zaciekawil!

Kobiety są innego zdania. Odrazu zaczynają się niecierpliwić; otwierają i zamykają kodaki, grzebią w swych torebkach, gubiąc przytem z wdziękiem wysypujące się z nich drobne monety, które z większym jeszcze wdziękiem i pluskiem wpadają przez szpary pomostu do wody, ku niczyjemu pożytkowi, a rybiemu przerażeniu.

Wkońcu wszyscy zaczynają się niecierpliwić. Pan Sternik wciąż jeszcze nie przychodzi, pan Bileter spotkał przypadkiem swoją znajomą i gdzieś cudownie przepadł. Tylko biedny jakiś marynarz, który był tu od początku, a może wcale nie odchodził, siedzi znudzony, melancholijnie poziewając, na krytym dziobie motorówki.

Zbudzony nareszcie z tej jakiejś kontemplacji coraz energiczniejszym zachowaniem się publiczności, skierował na nią duże, niebieskie, nic nie widzące oczy, ziewnął, potem potężnie i znów całą swoją istotą oddał się duchowej rozkoszy niebycia.

Nic dziwnego! Stary, doświadczony „seeman“, którego charakter ukształtowało to wciąż tak jednostajnie szumiące morze. Ukochał on to morze swoje, a ono wzamian dało mu tę melancholję głęboką i tęsknotę za czymś nieznanem, za czymś, co się stać nigdy nie może i co się też nigdy nie stanie.

Jedziemy wreszcie. Złe bałwany koniecznie chcą namówić ludzi na morską chorobę, lecz, na szczęście, nadaremnie.

Stajemy Wysoki, szary bok statku. Schodki.

Stojący jakimś cudem na różnych sznureczkach i lebkach wystających nitów marynarze, podają grzecznie swe ręce, pomagając ci wejść po tym karkołomnym przyrządzie.

Biedne panie! Schodki te sporządzono z wesołej jakiejś siatki, która z podziwu godną zręcznością chwyta obcasy damskich pantofelków i z wesołym trzaskiem urywa je.

Na pokładzie ogólne rozczarowanie. Wszystko pozamykane. Przyrządy i armaty w szczelnych, zniekształcających je, w sposób wcale nie piękny, futerałach. Tylko nasi marynarze, wiecznie uśmiechnięci, wiecznie grzeczni, objaśniają wszystko i opowiadają o tych ukrytych skarbach polskiej marynarki wojennej. Jedynie budka sternika, ten cały mózg statku, pokazuje wszystkim przeróżne kompasy, zegary dzwonki alarmujące, jakieś całe komplety kolorowych lampek, z których każda o czymś bardzo ważnem miała mówić i wreszcie małe kółko żelazne — to sterowe koło.

W pewnej chwili miałem uczucie zamkniętego w magicznej skrzyni kapłanów Ramzesa XIII-go, kiedy mi jakiś pocziwy marynarz pokazał dużą okrętową lunetę. Patrzyłem się na ląd i widziałem twarze ludzi, wyczekujących na pomoście.

Ogarnęła mnie wtedy jakaś idjotyczna duma, że właśnie nie oni, lecz ja jestem tu, na „Wichrze“, a oni muszą czekać, aż mi się zechce wrócić i zrobić im wolne miejsce w motorówce. I że oni nie wiedzą nawet, że się im ktoś przygląda, że stąd widać dokładnie ich na bronz opalone twarze, na których maluje się już wielkie zniecierpliwienie. I ogarnął mnie podziw dla marynarzy.

Rozrzewniło mnie to wszystko tak, że zawarłem bliższą znajomość z moim miłym majtkiem.

Rozmawiałem z nim długo, a on wywiódł mnie na szerokie, sine obszary Bałtyckiego morza i pokazał mi wszystkie jego cuda i niebezpieczeństwa. Byłem z nim na ćwiczeniach. Byłem na dalekich wyprawach. Byłem w Cherbourg. Byłem na Maderze. Trudno mi naprawdę było opuszczać „Wicher“, który w szarym swym kadłubie tak bajecznie kolorowe chowa obrazy wspomnień swego krótkiego jeszcze, lecz już pięknego, już ciekawego istnienia. Z marynarzem też pożegnałem się, jak z dawnym przyjacielem. A odjeżdżając, patrzyłem radośnie na wspaniałego Białego Orła w czerwonym polu rufy okrętu.

Radośnie — że to wszystko nasze!

Stanisław Czernicki.

SPAŁA.

Wspomnienia z podróży i zawodów.

...Godzina piąta rano... Stary Zamość śpi jeszcze rozkosznie, skąpany w słonecznych blaskach i utulony całunami lekkich, pierzchających mgieł.. Cała nasza przygodna „paczka“, przystrojona zalotnie w wojskowe czapki, płaszcze i tysiącem gwoździ połyskujące buty rozmieszcza się wygodnie w wagonie kolejowym.. Gwizdek, jeden, drugi — jedziemy... Żegna nas hałaśliwa zgraja szarych kawek i wron, a — po-
zatem — nikt. Przed oknami wagonu migają złoto-zielone łąny Zamojszczyzny, a wśród nich wynurza się i niknie w dali groźna potężnymi cytadelami Izbica i błyszczący wcale nie „krasnemi“ stawami—Krasnystaw. Niewiem dla czego, ale czuje się smutnym... Nareszcie Lublin! Wsiadamy i po dobrej godzinie marszu, znajdujemy się w końcu w koszarach garnizonu. Nagle widzę siebie w otoczeniu naszej zamojskiej, gimnazjalnej śmietanki sportowej.. Jakoś ciepło i serdecznie, prawdziwie po zamojsku witają się ze mną „eteryczny“ Poldzio, „długi“ Funio, Ryś, Orcio, Włodzio, Jaś jeden i drugi, a w końcu i „Haj“.

Swiszczą mi uszach dziesiątki goali, strzelonych współzawodnikom w Lublinie, nieubłagalnie wwierca się w mózg szalone tempo „stumetrówki“ Poldzia, a w końcu zalewa mnie falą radości: „jedziemy do Spały razem“!

Melduje się z werwą kapitanowi transportu i po sprawdzeniu papierów czekam na mundurującą się swoją „paczkę“. Nareszcie sportowe asy Zamościa wynurzają się z ciemnych podwoi magazynów i ze śmiechem defilują w powodzi majowego słońca. Funio ma „coś niecoś za długie“ spodnie, bo sięgają mu zaledwie do kolan. Orcio ciągnie połę płaszcza po delikatnej, lubelskiej glince, ale to nic, wszak to „wojsko-wo“. Przegląd, defilada przed generałem O. K. II, uciążliwy marsz przez idealnie nierówne bruki „Krakowskiego“ i oto jesteśmy w pociągu. W mgnieniu oka wyścielamy cały przedział wojskowemi kocami, na których, jak na laurach Olimpu umieszczamy swoje czcigodne ciała. Ryś z Włodziem, wdrapawszy się na wąskie, plecione półki bagażowe, zasypiają snem sprawiedliwych, leżąc jak mumje w obawie, by nie zlecieć na głowy współtowarzyszy.

Pogodne, nocne niebo miga przez szyby wagonu milionami gwiazd, a rytmiczne postukiwanie kół kołysze do snu. Po kilku minutach cały przedział usypia, a obecność naszą stwierdza tylko energiczne chrapanie „Haja“. Ranek budzi nas płomiennym pocałunkiem słońca. Wyprostowujemy nasze wysportowane kosteczki i zaczynamy z zapalem niszczyć „wyfasowaną“ w Lublinie kielbasę. Laury rekordu zbiera bezsprzecznie niezwykcieżony w tym nowym sporcie „Haj“.

Wogóle jest on nieoceniony w dostarczaniu i konsumowaniu żywności. Za jego to staraniem, menażki nasze, na każdej niemal stacji są wypełnione gorącą, a nawet i słodką herbatą. Godzina szósta... Gwizdek — stacja Kamienna-Skarżysko. Z ust uprzejmego konduktora dowiadujemy się, że skazani jesteśmy na dwugodzinny postój. Skora do przedsięwzięć, nasza „paczka“ wyzyskuje znaczne oddalenie stojącego pociągu od stacji i bliskość kolejowego wodociągu. Szybko rozbieramy się z drelichów i zostajemy tylko w spodenkach, a następnie z atletycznym „Hajem“ na czele, wszyscy, jak jeden mąż rzucamy się w mieniącą się tęczą kaskadę, która złotym gradem wytryska z rury wodociągu. Za chwilę zmoczeni do nitki, z błogim, ożywym dreszczem ciał wracamy do przedziału. Zimna woda wlewa w głowę dowcipnego Poldzia nowy projekt, którym jest koncert nie hawajskich, lecz stokroć od nich piękniejszych zamojskich gitar. Najważniejsze gitary, to znaczy Poldzio, Włodzio, Orcio i Rysio zasiadają tryumfalnie na kocach. Poldzio chwytą się lewą ręką za nos, prawą za gardło i wydobywa z tego prymitywnego instrumentu kilka

cudownych gam. Wszyscy z wyjątkiem myszkującego za nową porcją kielbasy „Haja“ usadawiamy się jaknajpoetyczniej i oto „Księżyc nad Tahitti“, lśni miljonem hawajskich tonów w mrocznej atmosferze wagonu. W ślad za cudownym księżycem mknie: „Nasza jest noc“, wśród której snują się „Nietoperze“ i słuchają namiętnej prośby „Przyrzeknij mi“! Ta impreza zdobywa nam odrazu serca kolegów i koleżanek podróży. Z męskimi głosami, ryczącymi ciągle „śpiewać“, mieszają się cienkie soprany chóru koleżanek: „prosimy Zamość o gitary hawajskie“. Dzielną „Haj“ odrazu opanowuje nową sytuację i krzyczy, że szlachetne gardła gitar i saksofonów powysyszały. W odpowiedzi na to, przez okna przedziału sypie się deszcz cukierków i ciastek. Chcąc niechcąc śpiewamy dalej. Komendant transportu, korpulentny pan major X. lśni, jak słońce w zadowoleniu z dziewiątki „Zamościaków“, a podziw jego znajduje wyraz w powiedzeniu: „No mili hultaje! możecie pójść na stację“! Nareszcie powoli postępując, rusza przeładowany żywym towarem pociąg w dalszą drogę i nad wieczorem triumfalnie wtacza się w las, który nosi miano „Spały“. Wysiadamy, i po czterokilometrowym marszu przybywamy do swojej luksusowej kwatery w Glinniku. Kwatera cudowna, w całym tego słowa znaczeniu.

Oto widzimy przed sobą gołe klepisko stodoły, otoczone czterema, jak brabantkie koronki przezroczystymi ścianami. Nasza „dzielna“ dziewiątka zdobywa szturmem zaciszny kącik, pokrywa ziemię puchowym dywanem złocistej słomy i lokuje się na spoczynek. Godzina piąta rano. Na głos pobudki zrywamy się wszyscy, jak jeden mąż i napełniwszy się rzetelnie aromatyczną i czarną, wojskową kawą udajemy się do wysnionej Spały. Ciężarowy samochód, na którym przeszło czterdziestu nas stoi stłoczonych jak śledzie, stęka metalowymi płucami motoru i zgrzyta łańcuchami. Raz wraz ćwiczymy głęboki przysiad przed drutami telefonów, gęsto rozsnutymi po całym lesie i w końcu z triumfalnym rykiem syreny wtaczamy się na olbrzymi stadion. Barwny tłum zawodników i zawodniczek poznaje nas i rzecz dziwna, wita nas okrzykiem: „Czołem Zamość!“ zapominając widocznie, że grupa nasza to cała reprezentacja okręgu Lublin II. Z dumą salutujemy i rozpiierzchamy się po stadionie.

(D. c. n.)

L. Pudłowski, kł. VIII.

WRAŻENIA Z WYPRAWY POLSKIEJ NA „JAMBOREE“ SŁOWIAŃSKIE W PRADZE CZESKIEJ.

TYSIĄC pięćset ludzi — to liczba pokaźna, tem pokaźniejsza, że nikt inny, tylko sami harcerze i harcerki. Taką liczbę Polaków gości w swych murach Praga dopiero drugi raz: pierwszy raz był to przed 900 laty wojenny najazd Chrobrego, uwieńczony triumfem zwycięstw, drugi — to nasze przybycie.

W trzech miejscach wytyczono nam obozy: dla hufca reprezentacyjnego, dla druhen i dla obozu głównego; ten ostatni na wyspie, t. zw. Trojskim Ostrowie. Jakies dziwne wrażenie odczuwa człowiek, przyglądający się jeszcze przed godziną pustej, bezludnej przestrzeni, nagle ożywionej, tętniącej rozgwarem młodych głosów, pełnej śmiechu, wesela i wyrastających, jak z pod ziemi, namiotów. Jeszcze większe zdumienie ogarnia patrzącego, gdy zajrzy na owo pole ćwiczeń wojskowych następnego dnia: rowy strzeleckie połączono mostkami, doły zrównano, wyznaczono ulice, place i dano im piękne nazwy. Nawet nie potrzeba przekraczać bram, odrazu widać wspaniałe urządzone ogródki przed namiotami, mapy plastyczne, stoły biesiadne, herby pomysłowe z tłuczonej cegły, a wszędzie ład, a wszędzie — harcerska pomysłowość.

Na drugi dzień wszystko już gotowe, nawet świetlice: Krakowska, Pomorska, Główna,

w każdej z nich barwne kilimy, naczynia ludowe, kolorowe plakaty, broszury propagandowe o Polsce i moc zwiedzających. Trudno jest plastycznie przedstawić to życie i tętno w naszym obozie polskim. Trzebaby rozpisać się obszernie lub wyświetlić film, któryby wykazał całą prawdę.

Wściekły rytm widać w naszym obozie: łącznicy latają, jakby najszybszych koni dosiadali; telefony co chwila wzywają różnych „ważnych”; tam w kuchni już obiad wydają; ówdzie odbywa się zmiana warty; w innym miejscu próba chóru; w innym próba pokazu reprezentacyjnego; jeszcze w innym odprawa drużynowych albo powitanie dostojnych gości. Tempo, rytm, hałas, gwar — a mimo wszystko — ład.

Gdy przypomni się defiladę przez miasto! Przegląd przez Przewodniczącego d-ha woj. Grażyńskiego! Pobyt na Hradczynie! Przemówienie prezydenta Masaryka! Popisy na stadjonie głównym! Oklaski, oklaski i jeszcze raz oklaski! Przyjęcie w obozie polskim ambasadorów, ministrów i dostojników. Banany, pomarańcze i nasz codzienny posiłek — bryndza, innego koloru na śniadanie, a innego na kolację oraz parujące kozie mleczko — to człowieka ogarnia niepohamowana radość i optymizm. Kalejdoskop! Kalejdoskop brawury, cudny, niezapomniany!

A teraz postawimy dwa pytania: co daliśmy i co uzyskaliśmy? Daliśmy, jeśli sięgnąć głębiej, spojrzeć poprzez rozmaite występy, pokazy i przyjęcia aż do tych trwałych rysów, które zostawiliśmy wśród Czechów — daliśmy bardzo dużo. Z pewnością można powiedzieć, że Czesi i inni skauci są zaskoczeni, zdziwieni typem Polaka. Ci, co obserwowali drużyny polskie, podziwiali naszą karność, wybuchowy temperament. Zdumiewała ich nasza organizacja — że tak szybko postaviliśmy swoje miasto-obóz. Zdumiewało jeszcze bardziej przywiązanie do krzyża harcerskiego — bo nikt przecież nie chciał „czenczować” krzyża pomimo ofiarowywanych wzamian pasków z klamrami odznaki czeskiej, a nawet kapeluszy i koszulek. Zaimponowaliśmy im swoją dumą narodową, dzielnością fizyczną, religijnością i oszczędnością. A teraz drugie pytanie co zyskaliśmy.

Nabraliśmy wielkiego zaufania do własnej organizacji, bynajmniej nie dlatego, że harcerki polskie zdobyły I miejsce, a harcerze II — to są obliczenia nie nasze, nasze mówią nam, że harcerstwo polskie to zwarty, mocny teren, mogący służyć jako przykład dla innych słowiańskich organizacji.

Radowały nas pochwały, błyski podziwu, słowa uznania, dumni byliśmy, że godnie reprezentujemy Polskę, a najwięcej, że naprawdę z ludźmi innych narodów można żyć w zgodzie w myśl wysokich ideałów prawa harcerskiego. Z początku nieufni, pod koniec zlotu znaleźliśmy wady naszych gospodarzy i sąsiadów, lecz widzieliśmy, że Jugosłowianin, Bułgar, Czech, Moskal i Ukrainiec — to jednak jedna rodzina, mogąca się porozumieć nie tylko bez tłumacza, lecz przede wszystkim mająca serca o podobnym głosie, podobne czucia, chcenia i podobne dusze!

Czuwaj!

Edmund Tanasiewicz, uczestnik wyprawy.

PROPAGUJMY KSIĄŻKĘ!

ŻYJEMY w cudownych czasach, w których wciąż nowe, wielkie zdarzenia zmieniają się z błyskawiczną szybkością i pędzą w siedmiomilowych butach. Oddychamy pełną piersią! Historia w oczach się tworzy. Wielkim, współczesnym czasom trzeba umieć sprostać. Znamionem piętnem naszych czasów: to triumf reklamy. Gwałtownie, pomysłowo, zgoła nie bezskutecznie są reklamowane samochody, mydło

i wiele innych rzeczy. Gdy wszystko dookoła w zawrotnym tempie porusza się i wywalcza byt dla siebie, czyż książka ma dumnie — a nierozumnie — oczekiwać, aż stanie się cud i zstąpi ku niej obojętność czytelnika? Przekreślmy ten stan rzeczy, nie narzekajmy jałowo na kryzys książki, a wypowiadając temu kryzysowi zwycięski bój, zadmijmy umiejętnie, my właśnie uczniowie, co sił w róg propagandy książki. Sami czytamy i propagujemy dobre książki — zrewolucjonizmy atmosferę. Do tego powołani są po pierwsze ci, co czytają i którym czytanie daje maximum zadowolenia i korzyści. Niech książka wyjdzie z ukrycia szaf bibliotecznych i półek księgarskich. Co może przysparzać więcej pożytku i radości, co może być większym i trwalszym bogactwem, jak przeczytamy ciąg książek. Przecież w książce, utrwalone zostały na wieki wieczne wiedza i sztuka. Książka roznieca w myślach i w duchu światło, które pozwala nam w rozumny sposób zorganizować do pracy naszą wolę twórczą i nasze zdolności.

Rękawek.

1832 — 22.III — 1932

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI NAJWIĘKSZEGO POETY NIEMIECKIEGO, TYTANA MYŚLI I SŁOWA, JOHANNA WOLFGANGA v. GOETHEGO, URZĄDZA MŁODZIEŻ PAŃSTW. GIMNAZJUM MĘSKIEGO W ZAMOŚCIU UROCZYSTY WIECZOR JEGO PAMIĘCI POŚWIĘCONY — GOETHE - ABEND WEDŁUG NASTĘPUJĄCEGO PROGRAMU:

1. Goethe jako człowiek i poeta — ref. St. Czernicki, ucz. VIII.
2. Goethes Manen. Eine Nachrede — vom Prof. Otto Werner.
3. a) Hasło
b) Goethes „Mailed“ } Schülerchor.
4. Die Weltliteratur — ein Gemeingut des nationalen Schaffens — ref. E. Schumer, Schüler der VIII Kl.
5. Goethes „Der Sänger“ — inszeniert von den Schülern der VII Kl.
6. a) Goethes „Der Sänger“
b) Goethes „Mignon“ } Schülerchor.
7. Goethes „Lyrik“ — rer. D. Kuzdra, Schül. der VIII Kl.
8. Goethes „Naturmalerei“ — ref. E. Wróbel, Schül. der VIII Kl.
9. Schubert „Erlkönig“ — Schülerorchester.
10. Goethes „Erlkönig“ — inszeniert von den Schülern der VI Kl.
11. Goethes „Iphigenie auf Tauris“. Eingangsmonolog — dekl. G. Kotorowicz, Schül. der V Kl.
12. Wyspiański: Weimar 1829. Aufführung. Personen: Odyniec, Konrad, Goethe, Mephisto.

Komitet Redakcyjny: Lipczyński Krzysztof, Pudłowski Leon, Rękawek Włodzimierz, Zawiliński Wacław. Sekretarz: Wiesław Kłokocki.

Redaktor naczelny: Dominik Kuzdra. Za redakcję odpow.: p prof. Gajewski Tadeusz.

Adres Redakcji: Państwowe Gimnazjum im. Hetm. Jana Zamojskiego.

Okładkę projektował: Kasperowicz Stanisław, wykonał: Domaniewski Bogusław.

Nowe horyzonty